ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Listopada 1895. Nr. 22.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Najznakomitsi panowie i biskupi, całe wojsko z hetmanem na czele i nieprzejrzane tłumy ludu wyszły za bramę naprzeciw przybywającemu królowi. Przy Floryańskiej zaś bramie czekał na niego biskup Kamieniecki, Goślicki, który w imieniu stanów miał powitać nowego pana. Skoro Zygmunt, otoczony licznym orszakiem, zbliżył się do bramy, biskup wysiadł z kolasy i pieszo podążył na spotkanie króla; wtedy ten zeskoczył z konia, przyklęknął na jedno kolano i z rąk kapłana odebrał chleb i sól. Następnie młody monarcha powstawszy, słuchał uważnie długiej, serdecznej mowy biskupa Goślickiego, w której pomiędzy innemi tak mówił:

— Złotem nas nie przyciągnąłeś do siebie, przed Bogiem i ludźmi są czyste ręce nasze. Za przekopami kamiennemi, za wały morskimi, za nieprzebytemi skałami, które zakrywały nam osobę twoją, znaleźliśmy w tobie króla i pana ze krwi panów i królów naszych, dziecię naszej Ojczyzny... Tu wzięła żywot matka twoja, tu nam też Bóg przywrócić raczył dziecię jej... więc gościem tu nie jesteś; w każdym z nas upatrzeć możesz łaskę przodków twoich... Na gotoweś też żniwo przyjechał: gotować zostawili miłość święci nasi Jagiełłowie. Czeka cię wiara przeciwko panom stateczna, miłość przeciw Ojczyznie gorąca... Dzielności, męstwa narodu nie przypominam: powieć Tatarzyn, Wołoszyn, Turczyn, Moskwicin... Nie w takiem królestwie osiądziesz, gdzie tylko kramy albo łatki liczą, ale w takiem, które jest murem i szczytem chrześciaństwa. Nie będzieszli próżnował, niebo sobie i swemu rycerstwu budować zawżdy będziesz. Wstąpże szczęśliwie na stolicę od Boga ci przeznaczoną. Umiej rządzić, umiej nagradzać i karać...

Wzruszony Zygmunt odpowiedział na tę przemowę płynnie i pięknie po polsku, co pomiędzy zgromadzonym ludem wywołało nieopisany zapał.

— Niech żyje nasz miłościwy król Zygmunt! — wołały radością uniesione

tłumy. — Niech żyje pan i ojciec nasz! Niech żyje wnuk Jagiellonów!

Okrzyki te rosły, wzmagały się, potężniały i zdawały się dosięgać samych niebiosów. Uderzono we wszystkie dzwony, zagrzmiały działa, król dosiadł konia i cały orszak ruszył do miasta wśród niekończących się okrzyków i wiwatów.

Oczy całego ludu zwrócone były na króla Zygmunta, który spokojny, poważny, ubrany w strój hiszpański, jechał otoczony najznakomitszymi panami. Z młodego monarchy przenosili wszyscy wzrok na pięknego młodzieńca, którego nadzwyczaj skromny ubiór rycerski dziwnie odbijał przy świetnych strojach panów i rycerzy, mieniących się od aksamitów i atłasów, złota i drogich kamieni. Wielu było ciekawych, kto jest ten rycerz, niemal biednie odziany, a tak poczesne zajmujący miejsce, bo jadący przy boku króla. Więc pytał o niego jeden drugiego, lecz mało komu skromny młodzieniec był znany. Inni zaś rozmawiali o nowym królu, którego smutek i posępność dziwiły i niezbyt się podobały; drugich znowu raziła zimna powaga Zygmunta, którą wszelako niektórzy tłómaczyli sobie, jako skromność i nieśmiałość, piękne zawsze w młodym wieku; choć znaleźli się tacy którzy zamyślenie królewskie dumie przypisywali.

— Młodziutki to i wcale piękny ten nasz pan miłościwy — mówił poważny mieszczanin w kosztowne futro odziany do butnego szlachcica — ale coś troska wygląda mu z dostojnego oblicza!

— Ba! Jak się ma nie troskać, kiedy nieprzyjaciel w kraju... który też niecały wita pana radośnie! — odparł szlachcic.

— Ktoby tam liczył garść wichrzycieli!... — zawołał inny. — Żaliśmy tu oto wszyscy nie radzi tej świeżej gałązce starego pnia panów naszych? Żali nie gorącem sercem przyjmujemy wnuka umiłowanych Jagiellonów.

— A jednak-ci jego królewski majestat chmurny i zadumany — mruknął mieszczanin.

— Dumny to snać pan, ale ma też na co, takim być! — rzekł butny szlachcic. — Idzie z takiego rodu, że trudno szukać podobnego na całym świecie.

— Prawda jest... Ale zawszeć-ci milej człowiekowi widzieć łaskawe monarchy oblicze — wtrącił ktoś z boku.

— Możeć to nie jakowaś duma, jeno sromanie się młodzieniaszka, świeżo na stolcu królewskim posadzonego! — dodał inny.

— Młodzieniaszek toć jest, ale przecie księciem był zawsze, choć nie królem...

— I więźniem też był przez lat kilka... — zauważył mieszczanin. — Nie dziw, że mu smętność w sercu pozostała na młodzieńcze lata.

— Panie sąsiedzie, a nie wiecie-li kto to jest ten piękny, młody rycerz? — pytał jeden Krakowianin drugiego.

— Który? Ten z tą rozradowaną twarzą, ale w tej ladajakiej zbroi?

— Tak jest, ten! Nie wiecie?

— Nie wiem. Ale musi to być chyba ktoś znaczny, bo...

— To jest przesławny Gabryel Hołubek; wiem to od mego tatusia — zawołał młodziutki chłopiec, dźwigający już przecie szablę przy boku, a cały błyszczący od jedwab i złota.

— Co zaś mówisz, paniczu?! — zawołali obaj mieszczanie.

— To ma być ten waleczny wódz górników?

Tu poważny szlachcic zagrodowy w lisim tołubie wmięszał się do rozmowy:

— On-ci to, on! mości panowie! Znam go dobrze, bo to i trzech moich synali pod nim służy.

— O, to powinszować waćpanu! — zawołano dokoła. — Hołubkowi ochotnicy, toć to najwięksi teraźniejsi bohaterowie!

Strojny, młody panicz patrzał wciąż błyszczącemi oczyma w twarz Gabryela, a wreszcie rzekł:

— Chciałbym z nim razem walczyć!... Oczy ma takie, jakby matczyne... Musi kochać swoich żołnierzy!

Kilku się rozśmiało, ale zagrodowy szlachcic rzekł:

— Pono ojciec, brat i opiekun dla swego wojska, ale karności i posłuszeństwa okrutnie przestrzega. Posłuch musi być!

— To i słusznie! Samowolą nikt jeszcze niczego wielkiego nie dokazał — powtórzyło kilku.

— Szkoda, że taki biedny! Tak licho odziany, aż mi go żal... i to dziw, że...

— O paniczu! Mógłby on mieć strój kapiący od złota — przerwał stary szlachcic — bardziej błyszczący nawet niż twój; bo choć nie dla łupów się bije, przecież znaczną już wziął spuściznę po nieprzyjacielu. Mógłby on się strojnie i bogato odziewać, ano nie chce tego, bo w skromności a pokorze się kocha. Bogactwa zaś woli rozdać rodzinom poległych towarzyszy.

— To widać ten Hołubek nie jeno mężny, ale i zacny — zawołali Krakowianie.

— To też nasz pan miłościwy, oto raz wraz coś do niego rzeknie — ozwał się butny szlachcic. — Nic nie dba, że Hołubek w niskim stanie zrodzon i zbroja na nim nie świecąca.

— Bo król, jako król, choć i najmłodszy, ma królewski rozum; więc wie, że suknia to niby rama, a człowiek to obraz...

— Bardzoś to, waść, mądrze i składnie powiedział! — zawołało kilku, a inni zaraz krzyknęli:

— Niech żyje pan nasz i ojciec! Niech żyje król Zygmunt!

Wśród takich i podobnych rozmów i coraz gorętszych okrzyków, oraz bicia dzwonów, zbliżał się orszak do katedry na Wawelu, a gdy król wstępował w jej progi, zahuczały organy w pięćdziesięciu kościołach Krakowa, i zaśpiewano: T e D e u m.

W kilkanaście dni później odbyła się koronacya Zygmunta, jak każdego z królów polskich, bardzo uroczyście i wspaniale. Więc najpierw dzień przed koronacyą spędził król na modlitwie, poszcząc i hojne rozdając jałmużny; nadto odprawił pielgrzymkę na Skałkę, do grobu św. Stanisława biskupa, jako szczególnego Patrona królestwa polskiego.

W dzień koronacyi udał się Zygmunt na Wawel do katedry, w towarzystwie senatorów, panów, rycerstwa i różnych dygnitarzy; przy drzwiach kościoła czekało na monarchę czterech biskupów, oraz arcybiskup, Karnkowski, to jest prymas, ze święconą wodą i kadzidłem. Prymas pokropiwszy Zygmunta, wprowadził go, w towarzystwie biskupów, do świątyni wspaniale przybranej; przodem zaś szli dygnitarze państwa, niosąc insygnia, oznaczające dostojeństwo i władzę monarszą. Więc miecz s z c z e r b c e m zwany, włócznię św. Maurycego, jako berło, złote jabłko z krzyżykiem, wyobrażające ziemię i koronę; wszystkich tych oznak używali przy koronacyi wszyscy poprzednicy Zygmunta, począwszy od Bolesława Chrobrego. Podczas gdy panowie składali insygnia na ołtarzu, król klęknął na stopniach, a prymas pokropił go znowu wodą święconą i okadził trybularzem, odmawiając przy tem przepisane modlitwy wśród bicia dzwonów i śpiewu hymnów.

Nagle zamilkły dzwony, śpiew ustał, a biskup krakowski rzekł do prymasa:

— Wielebny ojcze, Kościół, Matka nasza, żąda, abyś elekta tego wprowadził na tron królewski.

Na to wezwanie, arcybiskup Karnkowski zwrócił się do króla i jął mówić: przypominając mu ważność urzędu i trudne obowiązki, jakie bierze na siebie; dalej wspomniał o wielkich czynach jego przodków i poprzedników, przywodził na pamięć świetne czyny narodu i zachęcał króla do naśladowania cnót, których przykłady przywodził, do odważnej obrony Wiary i Ojczyzny; a w końcu zapytał Zygmunta:

— Chcesz trzymać się wiary Chrystusowej i bronić jej w każdej potrzebie, jako też tego narodu tej ziemi, której masz być panem?

Król Zygmunt upadłszy na kolana, przyrzekał uroczyście, a prymas wzniósłszy ramiona błogosławił go; w tej sa-

mej chwili huknęły trąby i kotły, ozwały się poważne głosy dzwonów, zabrzmiał wspaniały śpiew łaciński: »Te rogamus, audi nos« (prosimy cię, wysłuchaj nas). Niebawem przecież nastała znowu cisza, królowi podano Pakta conventa, to jest punkta ugody pomiędzy nim a narodem, które Zygmunt zaprzysiągł.

Po skończonej przysiędze, zdjęli biskupi i prymas mitry z głowy, na znak, że zaraz koronacya się rozpocznie; przed wielkim ołtarzem zaczęła się msza św., a arcybiskup włożywszy znowu mitrę na głowę, zbliżył się do klęczącego króla i obnażywszy jego barki, namaścił je olejami św., jako też głowę, ręce i piersi; poczem zaraz poświęcił insygnia leżące na ołtarzu.

Teraz przystąpili dygnitarze i zawiedli namaszczonego już króla do bocznej kaplicy św. Jana, gdzie marszałek wielki koronny ubrał Zygmunta w białe atłasowe sandały, w biały płaszcz i palium; z tak przybranym monarchą wrócili znowu panowie przed ołtarz, na którego stopniach się zatrzymali, a prymas spytał senatorów i deputatów:

— Czy chcecie mieć królem tego oto księcia?

— Chcemy! — odpowiedzieli zapytani.

Więc arcybiskup podał Zygmuntowi szczerbiec, mówiąc uroczyście:

— Weź ten miecz w imieniu apostolskiem ci dany, używaj go na obronę Kościoła i postrach przewrotnych!

Król wziąwszy szczerbiec ciął nim trzykroć w powietrzu, i oddał go wielkiemu miecznikowi, który włożywszy miecz do pochwy, podał go znowu prymasowi, ten zaś przypasał szczerbiec do boku króla z temi słowy:

— Pamiętaj, że nie samym mieczem, lecz wiarą zwyciężają się królestwa!

Przypasawszy miecz, włożył następnie królowi koronę na głowę, w ręce podał mu jabłko i berło i rzekł:

— Używaj ich tak, abyś budził w złych postrach, w dobrych zaś wesele!

Ledwo przebrzmiały te słowa, mury katedry zadrżały od grzmiących okrzyków, wydartych ze wszystkich piersi:

— Vivat rex! Vivat! (Niech żyje król! Niech żyje!)

Podczas tych gorących okrzyków, Zygmunt zdjął koronę i przystąpił do komunii św., poczem modlił się żarliwie aż do końca mszy.

Po skończonem nabożeństwie odpasał młody monarcha szczerbiec i oddał go wielkiemu miecznikowi; zaczem przystąpił arcybiskup Karnkowski do króla i powiódł go na tron, wzniesiony po prawej stronie wielkiego ołtarza. Tron był pod baldachinem, cały przecudnej roboty, składający się ze złotogłowia, srebra, złota i drogich kamieni. Skoro Zygmunt zasiadł na tronie, sędziwy prymas jął znowu mówić do co dopiero ukoronowanego monarchy, witając go pięknemi słowy, jako nowego pana i polecając mu, jak ojcu kraj cały i wszystkie stany. Po skończonej mowie prymasa, siedzącemu na tronie królowi składali hołd marszałkowie sejmowi, uchylając swoje laski, a rycerstwo oznaki wojenne.

Na tem skończył się obrzęd koronacyjny, po którym udał się Zygmunt do komnat zamkowych, w towarzystwie senatorów, biskupów, panów, rycerstwa i szlachty, w zamku przysposobiona była uczta na cześć nowego króla, a uczestniczyli w niej wszyscy znakomitsi panowie duchowni i świeccy.

Na drugi dzień po koronacyi, zasiadł młody monarcha na tronie, wzniesionym na rynku krakowskim, gdzie mu składano powinszowania i podarki; rada zaś miejska przedłożyła książkę przywilejów miasta Krakowa; po zatwierdzeniu ich podano królowi na złotem wezgłowiu klucze od bram, na znak, że obejmuje najwyższą władzę. Nakoniec pasował Zygmunt kilku dzielnych młodzieńców na rycerzy, nadając im przytem szlachectwo.

Najpierwszy, któremu wdzięczny król nadał tę godność był Gabryel Hołubek; jemu też najpierw rozkazał zbliżyć się do tronu, a gdy wzruszony młodzieniec przyklęknął na stopniach, Zygmunt uderzył go trzykroć lekko mieczem po ramieniu, pasując go tym sposobem na

rycerza; a następnie przypasał mu kosztowną szablę do boku.

Jakkolwiek Hołubek nie pragnął zaszczytów i chwały, to przecież odznaczenia, jakiego doznał, otrzymane szlachectwo, radowało go do głębi duszy. Bo najpierw, każdy człowiek, choćby najskromniejszy i wcale niepróżny, cieszy się, gdy widzi uznane swoje dobre chęci i zasługi; więc i proste serce Gabryela drżało z radości na myśl, że poczciwe usiłowania jego, chęć służenia Ojczyznie, bronienia kraju i majestatu nie były daremne, że przyniosły dobru powszechnemu korzyść, że snać oddał ziemi rodzinnej i dobrej sprawie ważne usługi, kiedy go tak wspaniale i hojnie nagrodzono. A dalej zaszczyty owe cieszyły go jeszcze ze względu na siostrę. Hołubek czuł doskonale, że im wyżej się wzniesie, tem pewniej i prędzej Ludce szczęście i spokój zapewni, gdyż dumny ojciec jej męża, łatwiej przebaczy synowi małżeństwo z siostrą szlachcica i sławnego człowieka, tem prędzej przyjmie Ludkę za córkę, sam zaś zawiedziony w nadziejach wyniesienia swego domu, łatwiej ten zawód zniesie i mniej boleśnie będzie dotknięty.

Cały czas, jaki upłynął od wjazdu króla do Krakowa aż do koronacyi, co dzień widywał się Hołubek z rotmistrzem, który już wiedział o przysłudze, jaką Gabryel wyświadczył jego rodzinie. Nie miał też pan Adam dość słów na podziękowanie zacnemu młodzieńcowi; kochając ojca i siostrę niezmiernie, drżał na samą myśl nieszczęścia, jakieby było na nich spadło, gdyby nie pomoc dzielnego brata Ludmiły. Teraz zaś dowiedziawszy się o nadaniu Gabryelowi szlachectwa i pasowaniu go na rycerza, czego sam był świadkiem, słysząc nareszcie o łasce, jaką młody górnik zyskał u króla i u wielkiego hetmana, nie posiadał się pan Adam z radości. A cieszył się i ze względu na szczęście i powodzenie szwagra, którego oddawna kochał i szanował, a także i ze względu na Ludkę, swego ojca i własne szczęście. Tak samo jak Gabryel wiedział, że wyniesienie szwagra wielki będzie miało wpływ na spokój i szczęście całej rodziny.

Kiedy się skończyły ceremonie na krakowskim rynku, ruszył król Zygmunt wśród radosnych okrzyków nieprzejrzanych tłumów z powrotem na zamek; Hołubek był znowu przy boku monarchy i odprowadził go wraz ze swymi żołnierzami na Wawel. Młody bohater lubo pierwszy raz widział uroczystości koronacyjne, oddającą się radości i weselu ludność, pomiędzy którą rzucano pieniążki z napisem: p r o j u r e e t p o p u l o (za prawo i naród), mimo świetności i przepychu widnych w około, kontent był, gdy uroczystość się skończyła i mógł odetchnąć swobodnie w towastwie ukochanego małżonka swej siostry. Stanąwszy tedy na zamku, powierzył pieczę nad swojem wojskiem Semenowi i oficerom, a sam udał się do mieszkania szwagra; rotmistrz wróciwszy niedawno z rynku, wyglądał z niecierpliwością świeżo szlachectwem ozdobionego młodego bohatera; ledwo się też na progu ukazał, pan Adam schwycił go w ramiona i długo trzymał milcząc; tylko w jego siwych oczach zaświeciły dwie duże łzy i wolno spadły na twarz Gabryela; wtedy zawstydzony rotmistrz wykrzyknął:

— Aj, kochany bracie, oto beczę, jak baba; a wszystkiemuś ty winien!

— Albo co? Jakimże to sposobem? — spytał z uśmiechem Hołubek, ściskając gorąco pana Adama, lecz usiłując pokryć silne wzruszenie, jakiem go to braterskie powitanie przejęło.

— Jeszcze się pytasz? O radości, szczęścia teraz w mojem i Ludki życiu, to tobie zawdzięczamy! Więc mi serce roztajało z radości i łzy człowiek roni, chce czy nie chce.

— Co tam prawisz, kochany panie szwagrze! Bóg to daje szczęście, nie zaś mizerny człowiek je sprowadza!

— Tak-ci jest! Ale dla twojej to cnoty Pan Bóg nas pocieszył. Już nie przecz! Wolej przyjmij moje powinszowanie z okazyi tych zaszczytów, jakich dziś dostąpiłeś.

Tu pan Adam jął znowu ściskać Gabryela, a ten mu też z całego serca uściski oddawał, dziękując ze wzruszeniem. Następnie zasiedli obaj rycerze za stołem, rotmistrz kazał Kostkowi przynieść flaszę miodu, którego nalawszy w szklanki, zawołał:

— Zdrowie naszego miłościwego pana, który taki na ciebie łaskaw.

— Niech nam żyje i szczęśliwie panuje w jak najdłuższe lata! — dodał Hołubek wznosząc szklankę.

— A teraz twoje zdrowie, miły bracie! jako nowego szlachcica i rycerza! — zawołał znowu gospodarz, nalewając na nowo szklanki.

— Bóg zapłać! Daj Boże, aby to odznaczenie wyszło na dobre mnie, a mianowicie zaś lubej Ojczyźnie!

— Wyjdzie, wyjdzie! I jak jeszcze! — mówił pan Adam. — Już to korzyść dla kraju, że zyskał takiego zacnego, jak ty obywatela. Ale cóż teraz myślisz czynić? Będziesz dalej prowadził podjazdową wojnę z arcyksięciem?

— Radbym z całej duszy! Ale jak? Maksymilian okopał się w Krzepicach. Nie wykurzę go ztamtąd... A zresztą nie będę już pono dalej sam sobą rządził; hetman zapowiedział mi, iż mię od swego boku nie puści.

— No, no, drogi bracie! Jeżeli wojna z arcykięciem potrwa jeszcze długo, tedy ty zajdziesz Bóg wie jak wysoko. Prawie się wierzyć nie chce, gdy człowiek pomyśli, że przed rokiem oto... pamiętasz? kiedyśmy się to pierwszy raz spotkali, tam w lesie, zarazem w tobie przeczuł żołnierza! Namawiałem cię też, żebyś został rycerzem, aleś ty nie bardzo mnie chciał słuchać, chociażeś się przyznał do żyłki żołnierskiej... Wszelako nie mogłem cię namówić, zastawiałeś się wolą zmarłego rodzica... A dziś! Co za odmiany! Miły Boże...

Hołubek się uśmiechnął i odparł:

— Wtedy, kochany bracie, nie było potrzeby za broń chwytać, nie było kogo bić; więc się pracowało tam, gdzie Bóg do pracy postawił.

— Prawda to! Ale ktoby się mógł spodziewać, że za rok będziesz szlachcicem, rycerzem, przesławnym wojownikiem, znakomitym wodzem mężnych ochotników, ulubieńcem króla i wielkiego hetmana! Jak tak dalej pójdzie, gdzież ty zajdziesz?... Czem zostaniesz?...

— Czem Bóg zechce, panie szwagrze!

— Pewnie! Ale mnie się wydaje czasem, że chyba po buławę sięgniesz... Takiś młody!... Takie długie życie przed tobą!... No, niechże ci Bóg szczęści! Twoje szczęście jest jeszcze większem szczęściem mojem i Ludki.

Gabryel nic nie odpowiedział, bo nagle doznał dziwnego uczucia smutku, takiego samego, jakie już raz, gdy z Ludką mówił o długiem życiu, ścisnęło mu serce. Więc tylko głowę wsparł na ręku i zadumanym wzrokiem utonął w purpurowem niebie, widnem przez wysokie okna; na zachodniej stronie nieba paliła się krwawa zorza, a ostatnie promienie zachodzącego słońca, przedarłszy się przez wązkie szyby, ubrały głowę młodzieńca w świetlaną aureolę.

Zamilkł i pan Adam i jego wzrok utonął w jasnem przestworze nieba, ale twarz miał wesołą, promieniejącą radością; z rozkoszą marzył o godnościach dla brata ukochanej małżonki, o tej chwili, gdy sędziwy ojciec z zadowoleniem i dumą przytuli Ludkę do serca i nazwie córką; myślał o świetnej przyszłości swego domu, o długiem a szczęśliwem życiu swej rodziny i bohaterskiego brata Ludmiły.

A tymczasem słońce spuszczało się coraz niżej, zapadło, nikło, aż zupełnie zgasło...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ksiądz Arcybiskup Feliński.

Dnia 17-go Września b. r. umarł w Krakowie w pałacu ks. biskupa krakowskiego ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, dawniejszy Arcybiskup warszawski.

Zmarły urodził się w roku 1822 na wsi w Wojutyniu na Wołyniu. Młodość miał niewesołą, twardą, nie znał, co to zabawy, nie mógł powiedzieć w późniejszych latach, że spędził lata młodzieńcze swobodnie! Innych starców wspomnienia lat młodości napawają lubością. Z jaką to rozkoszą naprzykład dwóch przyjaciół przypomina sobie nawzajem jutrzenkę życia swego. Nie do tych należał ks. Feliński. Ojciec jego, Gerard, umarł na wygnaniu a matkę jego zesłano na Sybir, gdy liczył zaledwie 14 lat życia. Zostało sześcioro rodzeństwa bez serc najbliższych, wszystko młodsze od Szczęsnego, bez najmniejszych zasobów do życia. Nie pozostało Szczęsnemu nic innego, jak na chleb pracować w swych tak chłopięcych jeszcze latach. Zapracowanym groszem wspomagał matkę, dzielił się z rodzeństwem. W innych rodzinach ojciec i matka czuwają nad młodzieńcem i troskają się o jego przyszłość, nad Szczęsnym Felińskim czuwał Pan Bóg.

Poważnie i mozolnie spędzona najwcześniejsza młodość musiała na Felińskim wycisnąć niezatarte swe piętno. Umysł dojrzał wcześnie, wola stała się nieugiętą, charakter ustalił się. Dołączmy do tego jeszcze prawdziwą pobożność, którą weń zaszczepiła bogobojna matka, a będziemy mieli typ męża, który łącząc z tem wszystkiem głęboką wiedzę i naukę, mógł kiedyś zasłynąć czy to w stanie świeckim, czy w służbie Bożej.

W r. 1845 powróciła matka z wygnania, ale sterana niewygodami życia, wnet skłoniła głowę swą do wiecznego spoczynku. Feliński pozostał teraz rzeczywistą sierotą. W roku 1848 udał się do Paryża, gdzie zamyślał dokończyć nauk. Przejeżdżając przez Wielkie Księstwo Poznańskie, ujrzał oddział wojska polskiego, przyłączył się doń i pod Miłosławiem cięty szablą w głowę, dał dowód, że i życie za ojczyznę gotów był nieść w ofierze. W Paryżu zamknął oczy wielkiemu wierszopisarzowi polskiemu, Juliuszowi Słowackiemu. Tam to dojrzała w nim myśl, ażeby się poświęcić wyłącznie służbie Bożej. Mając 29 lat, wstąpił w roku 1851 do seminaryum w Łucku. Tam przełożeni, poznawszy się na jego niepospolitem uzdolnieniu, idącem w parze z głęboką pobożnością i życiem nieskalanem, wysłali go do akademii duchownej do Petersburga, gdzie w roku 1855 u stóp ołtarza złożył Bogu ze siebie całopalenie wraz z przeczystą ofiarą pierwszej mszy świętej, przez siebie odprawionej. Osięgnąwszy szczyt życzeń swych, pragnął teraz oddać się cały na usługi Pana w niebiesiech. Przydzielony do kościoła św. Katarzyny w Petersburgu, ujął się za opuszczonymi chłopcami, uczył ich, przyodziewał i na spółkę z ks. Konstantym Łubieńskim dom przytułkowy dla nich ufundował. Cicha a obfita w owoc praca młodego kapłana zwróciła uwagę przełożonych, i wkrótce ks. Feliński mimo młodych swych lat znalazł się na stanowisku profesora w akademii duchownej.

Tam pozostał do roku 1862. W tym roku krwawo rozpoczęto prześladować w Polsce życie religijne. Zamykano kościoły, więziono Polaków niby podejrzanych o wrogie dla całości i porządku państwa rosyjskiego zamiary, wywieziono na wygnanie administratora dyecezyi warszawskiej i wielu innych księży i w ten sposób przygotowywano grunt do przyszłego tak bolesnego w skutkach swych powstania w roku 1863. Pan Bóg, który nie opuszcza tych, którzy się do Niego o pomoc udają, wskazał namiestnikowi Swemu na ziemi, papieżowi Piusowi IX w osobie cichego i skromnego kapłana ks. Felińskiego tego, który w tych smutnych w Polsce chwilach mógł wznieść się po nad wy-



WĘGIERSKIE WESELE. (Obacz objaśnienia rycin na str. 352.)

żyny namiętności, jakie wrzały w kraju jego ojczystym i doprowadzić do upamiętania. Aleksander II., panujący naonczas car rosyjski, zgodził się na to i 26-go Stycznia 1862 r. ks. Feliński, nie liczący jeszcze 40 lat życia, zjechał do Warszawy jako Arcybiskup. Zaczęły się dla nowego dostojnika dni prawdziwie cierniowe. Właśni ziomkowie przyjęli go z niechęcią i niedowierzaniem, ponieważ im się zdawało, że przychodzi z ramienia rządu rosyjskiego, ażeby tłumić zapał dla przygotowywanego powstania. Prawie daremnie wzywał ten prawdziwy sługa Boży do cichej pracy około dobra ojczyzny, do pokuty, miłości wiary, posłuszeństwa dla Kościoła.

Mowy te, zamiast uspokoić, rozdrażniły gnębione duchowo umysły Polaków więcej jeszcze. Nie zrażał się jednak niepowodzeniami Najprzewielebniejszy Arcypasterz. Urządzał misye, zakładał bractwa wstrzemięźliwości, radził ze świeckimi nad sposobem uwolnienia ludu z pańszczyzny, kazał po kościołach, nauczał, słowem, czynił wszystko, ażeby wzburzone umysły uspakajać i zaszczepić wiarę, że Bóg jedyny w tych trudnych warunkach życia społecznego może pomódz. Siła wypadków była jednak większą od potęgi jego słowa i czynu. Wybuchło nieszczęsne powstanie, które wylało na całą Polskę strumienie krwi i łez, kirem żałoby kraj cały okryło przez długie lata. Księdza Arcybiskupa zesłano na wygnanie do Jarosławia w głąb Rosyi, gdzie przebył z górą lat 20. I tam męczeński żywot starano się zaprawić mu prawdziwą goryczą, odbierając przez pewien czas prawa sprawowania Najświętszej ofiary. Sądzono złamać go tem, ale nadaremnie.

Otworzyły się rodakom jego oczy, ale zapóźno. Ks. Arcybiskup do Warszawy już nie powrócił. Długie lata niewoli osłabiły jego siły, targały jego zdrowie, ale duch potężniał tem więcej. Wiódł w Jarosławiu życie pełne zaparcia się samego siebie, pełne miłosierdzia i dobrych uczynków. Nawet po wyjeździe jego, Moskale i popi prawosławni zdejmowali czapki przed domem, w którym przebywał, mawiając: »Tu mieszkał sprawiedliwy«. Ojciec św. Pius IX otaczał go szczególną swą przyjaźnią. W przemówieniach swych stawiał go innym za wzór. Kielich i kamień z relikwiami posłał mu do odprawiania mszy świętej.

W tym czasie zakończył życie wielki miłośnik Polaków, Pius IX, a następca jego, Leon XIII, starał się usilnie o złagodzenie położenia pomiędzy katolikami w Królestwie i osięgnął to, że car ułaskawił ks. Arcybiskupa, choć co prawda tylko pod warunkiem, że osiędzie za granicą. Ks. Arcybiskup opuścił Jarosław i przeniósł się do Galicyi, gdzie osiadł w majątku hrabiów Kęszyckich, Dźwiniaczce. Tam wśród wygód i dostatków wiódł życie prawdziwie surowe. Słuchał dziennie po kilka godzin spowiedzi, co Niedzielę miewał kazania, osobliwie dzieciom i starszym wykładał zasady wiary, jeździł i chodził do chorych, niosąc im Sakramenta św., odwiedzał i pocieszał, nie pytając, czy słota, czy zimno.

Miłosierdzie jego nie znało granic. Na wzór św. Marcina byłby dał i koszulę z ciała ubogiemu. Niejednokrotnie brakło mu bielizny lub ciepłej odzieży, bo wszystko rozdawał, a gdy mu delikatnie na tę jego bezgraniczną hojność zwracano uwagę, spełniał uczynki miłosierdzia w skrytości. Wolny od modlitwy i pracy wysokiego powołania swego czas poświęcił pisaniu książek, listów i czytaniu. Tak przepędził dwanaście lat. Miał jasne przeczucie śmierci i często powtarzał: »Trzeba się spieszyć, by wszystko załatwić, bo już mam mało czasu«. Na parę tygodni przed śmiercią powtarzał do siostry właściciela Dźwiniaczki: »Zdałem się zupełnie na wolę Bożą, nie chcę niczego, tylko tego, co Bóg chce i rozporządzi, ani żyć, ani umierać, ani cierpień, ani pociech, nic, tylko co On chce. Nie uwierzysz, jak się czuję odtąd szczęśliwy, na pozór czasem pani się zdaje, że jestem smutny i milczący, ale to zewnętrznie tylko, to fizyczne cierpienie — w duszy mam niebo«.

Pojechał dla poratowania zdrowia do Karlsbadu, ale kuracya nie poskutkowała i doktorzy kazali mu powrócić do Krakowa. Tam choroba rozwinęła się na dobre. W Sobotę 14-go Września wezwał kapłana do siebie dla odbycia św. spowiedzi. Po takowej zajaśniał na jego obliczu anielski spokój i to poddanie się Bogu, które jest tylko udziałem sprawiedliwych. Rzekł do spowiednika: »Ofiaruję się Panu Bogu na najsroższe cierpienia, nie chcę odtąd żadnej przyjmować ulgi, żeby się spełniła zupełnie we mnie i ze mną Najświętsza Jego wola«. Czyż w tych słowach nie przebija ta jego wielkość duszy, ten hart ducha, który dostał mu się w udziale wśród męczeńskiego jego żywota? Ks. Biskup krakowski, który umierającemu udzielił ostatnich pociech religijnych, ukląkł przed nim i prosił o błogosławieństwo dla siebie, dyecezyi i Polski całej. Umierający podniósł rękę i głośno błogosławił.

Umarł ten świętobliwy męczennik Boży dnia 17-go Września o wpół do 7 rano, a starożytny dzwon »Zygmunt« rozniósł tę żałobną wiadomość po kraju. Ciało śp. księdza Arcybiskupa pochowano w podziemiach Wawelu, gdzie spoczywają też szczątki królów polskich.

NASZA ZIEMIA.

Rodzinna nasza ziemio kochana!
Jak wdzięczne równin twoich obszary!...
Uposażonaś hojnie od Pana
Wszystkiemi dary.

Gdy z wiosną gaje, łąki i niwy
Świeżej zieleni szatą okryje,
Do swego Stwórcy wznosi głos tkliwy
Wszystko co żyje.

Każda ptaszyna piosnkę swą dzwoni,
I jako umie Boga wychwala,
A głos fujarki z rosą po błoni
Dochodzi zdala.

Wiosenne kwiaty, cudne swe wonie
Niby kadzidło niosą w ofierze,
A człowiek myślą w niebie utonie,
Modli się szczerze.

I rolnik nucąc sieje zagony,
Bo w jego duszy otucha błoga:
Z ufnością zleca przyszłe swe plony
Opiece Boga.

Pięknie!... o! pięknie na naszej ziemi,
Gdy letnie słońce, tocząc wspaniale
Ognisty rydwan, promieńmi swemi
Złoci zbóż fale.

Wtedy szmer cichy płynie wzdłuż łanu,
I plenne główki schylają kłosy,
Jakby dziękczynną modlitwę Panu
Słały w niebiosy.

Gdy naszą miłą jesień witamy,
Ileż to darów ona nam niesie!...
Zboża, owoce, miody zbieramy
W polu i w lesie.

Jeszcze nam ciepły wietrzyk powiewa,
Choć słonko chodzi nie tak wysoko;
W złoto, w purpurę stroją się drzewa
I barwią oko.

Po długich słotach nadchodzi zima:
Wszakże wraz ze mną, wszyscy powiecie,
Że nigdzie zimy piękniejszej niema
Na całym świecie.

Miękko się ściele dywan śniegowy;
W promieniach słońca gwiazd miliony
Iskrzy się po nim, a las sosnowy
Zawsze zielony.

Ziarno pod śniegiem nic nie szwankuje;
Mróz niezbyt ostry, często łaskawy,
A na nim człowiek raźny się czuje,
Krzepki i żwawy.

W zamorskich stronach, jak ja słyszałem,
Są wielkie rzeki, wspaniałe góry,
Lecz zbytnim człeka męczy upałem
Niebo bez chmury.

My tu nie mamy dziwów natury,
Świetnych postawą i pierzem ptaków,
Ale nasz słowik, choć ma strój bury,
Pierwszym z śpiewaków.

Tam rosną kwiaty, owoce cudne.
Lecz srogie węże wśród nich pełzają;
Wabią swym cieniem drzewaułudne
I zabijają.*)

*) W Ameryce rośnie drzewo Jabłusznik czyli Mancenila, zawierające tak gwałtowną truciznę, że same wyziewy jego zabijają; jeżeli nieświadomy jego własności podróżny spocznie w jego cieniu, zasypia na wieki.

Żarłoczny tygrys, lew krwi spragniony,
W zaroślach lasów kryje się zdradnie,
I często w jego drapieżne szpony
Biedny człek wpadnie.

Wszak mi przyznacie, moi rodacy,
Że nam jest lepiej na naszej ziemi?...
Że tu możemy, przy cnocie, pracy,
Być szczęśliwemi.

Dziękujmyż wdzięcznie Panu nad Pany,
I łaski Jego prośmy w pokorze:
Racz błogosławić kraj nasz kochany!...
I szczęść mu Boże!

JAPONIA.

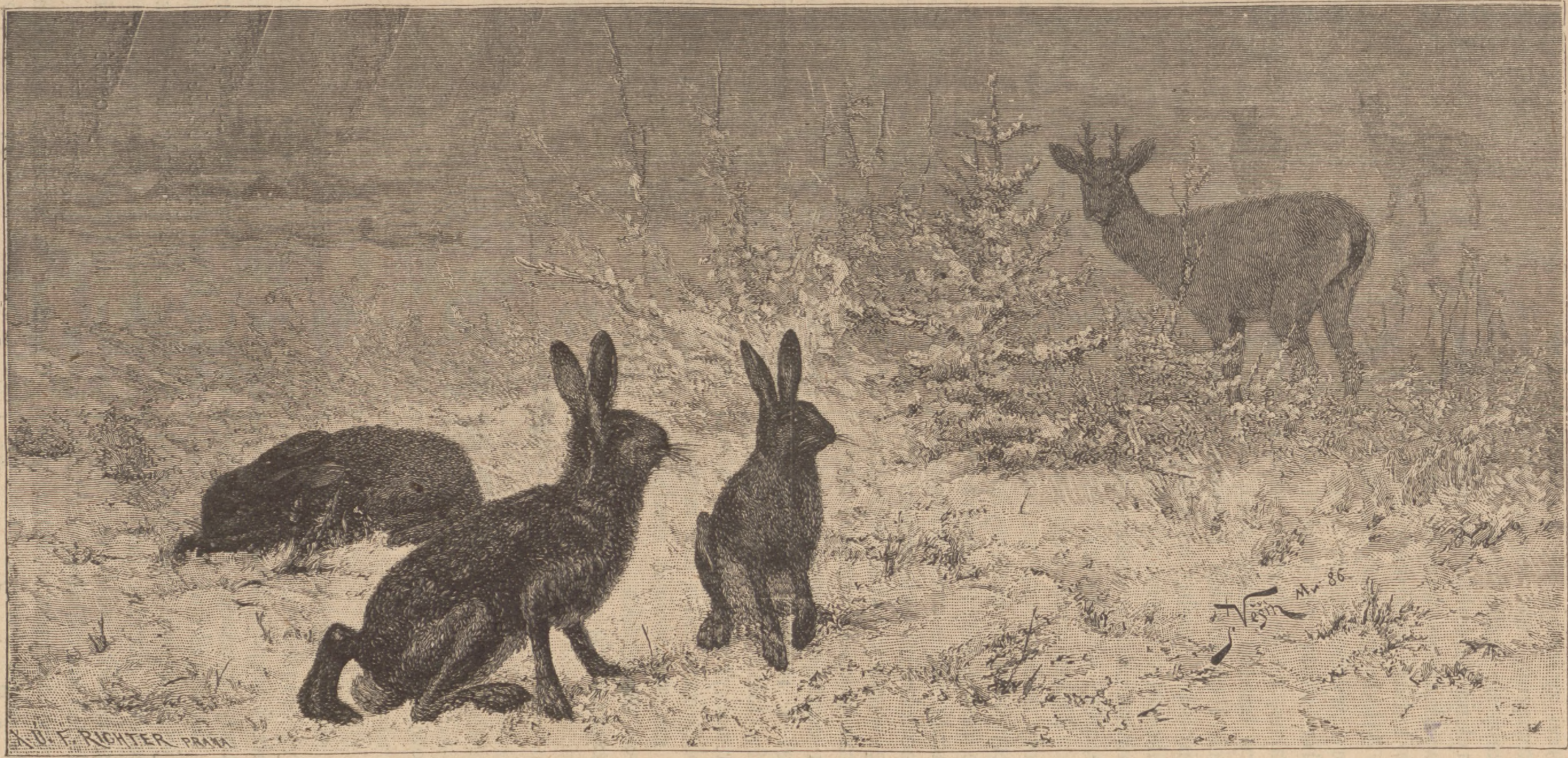
(Dokończenie.)

Urzędnicy i policya, biórokraci kierują życiem w państwie i gminie. Nawet nad nawadnianiem pola czuwają urzędnicy, i każdemu udzielają pewną ilość wody według tego ile posiada roli. Urzędnicy są otoczeni szpiegami i sami szpiegują. Jeden jest odpowiedzialny za czyny drugiego. Dla tego głowa rodziny jest zarazem dozórcą domu, co kilka domów ma znowu wyższego dozórcę, który musi o wszystkiem donosić dozórcy ulicy. A ten donosi dozórcy obwodu, który stoi pod magistratem. Jedna połowa ludności dozoruje drugą. Czasem nie tylko karzą złoczyńcę, lecz całą rodzinę.

Japoński rząd kieruje teraz krajem coraz więcej na sposób europejski. Dawniej rządził władzca duchowny i świecki w jednej osobie, Mikado czyli Dairi, którego nazywano następcą bogów, właścicielem ludu. Później, skutkiem rewolucyi została władza rozłączona. Władzcą jest cesarz, Paikun, który mieszka w Jeddo. Cesarz rządzi z ministrami i sejmem, posłami, na sposób europejski. Cesarz posiada na własność nie wiele miast. Większa część kraju należy do szlachty, Dasmios. Każda prowincya ma swego księcia, a ten znowu swoich podwładnych namiestników.

Prawa ogłaszają głośno w każdem mieście i w każdej wsi, a potem przybijają je na pewnem miejscu. Kto przeciw prawom postępuje bywa karany choćby był najwyższym. Jeżeli kto jest skazanym na śmierć, to rząd zabiera mu majątek. Różne stopnie pomiędzy ludźmi, n. p. szlachectwo, są dziedziczne, i odróżniają się nawet odzieżą. Pomiędzy kupcami, rzemieślnikami i t. d. też znowu są różne stopnie. Dawniej każdy szlachcic był urodzonym żołnierzem, przy urodzeniu już miał pewną rangę wojskową i musiał służyć później we wojsku i pobierał żołd.

Szerokie spodnie (galoty) są znakiem wysokiej godności. Główną szatą jest kaftan, według stanu osoby jedwabny, bawełniany lub płócienny. Mężczyzni czasem sześć kaftanów naraz oblekają, a niewiasty trzy razy tyle. Rękawa nie wciągają na ramię, lecz wisi on luźno, u góry otwarty a u dołu zeszyty służy jako kieszeń. Zamiast obówia noszą Japończycy na nogach drewniane lisztewki albo sandały plecione ze słomy. Kapelusze noszą słomiane lub skórzane, z drzewa, papieru i zwykle lakierowane. Zwyczajnie jednak tylko żołnierze noszą kapelusze. Nie tylko kobiety ale i mężczyzni noszą parasole od słońca i wachlarze; w pasie mają przyrządy do pisania i pugilares, w którym się znajdują papier, pieniądze i leki. Ludzie ubodzy chodzą latem prawie nago. Ponieważ rybacy i marynarze nad morzem prawie zawsze są wystawieni na słońce i powietrze, dla tego są opaleni i brunatni. Ludzie w mieście mają cerę jaśniejszą. Japończycy golą brody i głowy, lecz odmiennie od Chińczyków, bo golą głowę z przodu, resztę włosów wiążą we warkocz długi na palec i spuszczają go naprzód. Duchowni, lekarze i kobiety rozwiedzione mają głowy całkiem ostrzyżone. Dziewczęta i kobiety bardzo dbają o to, aby głowy ich były przystrojone; tylko małe miejsca w środku głowy wystrzyga się gładko, włosy ze



WSŁUCHUJĄ SIĘ. (Obacz objaśnienia rycin na str. 352).

wszystkich stron zgarniają się ku temu miejscu i zawięzują we węzeł, przez który przetykają się śpilki złote i srebrne, albo wtykają naokoło małe pięknie rzeźbione i wygładzone kawałki szyldpatu. Włosy kobiet japońskich są czarne i miękkie. Młode Japończyczki są ładne, lecz skoro wychodzą za mąż, to wyrywają sobie włosy ze brwi i farbują zęby czarno, co je bardzo szpeci.

Japończycy bardzo dbają o to, aby w mieszkaniach i około nich było czysto. Wszędzie są kąpiele, w których mężczyzni i kobiety razem się kąpią. — Dzieci nowonarodzone zostają przez miesiąc nagie, póki w świątyni nie dostaną imienia. Dzieci wychowują się surowo, a szkoły ludowe są po całym kraju. Kobiety uczą się nauk wyższych, nawet służące pisują listy; żołnierze na odwachu skracają sobie czas czytaniem. Zagadkami i podobnemi ćwiczeniami ducha bawią się wszyscy ludzie wykształceni. Nie brak książek, obrazów i t. p.

Japończyk okazuje wiele siły woli i czynu, odwagi i męstwa. Mówią, że jak u Anglików tak też u Japończyków dzielny lud utworzył się przez to, że to nie jest jednolita rasa ludzi, lecz mięszanina różnych ras, mianowicie zeszła się w Japonii rasa mongolska i malajska. Japończycy zaprzeczają z oburzeniem jakoby byli spokrewnieni z Chińczykami. Pomiędzy mieszkańcami Japonii widać w różnych okolicach różnych ludzi, różnego wejrzenia. — Pewien podróżny pisze o Japończykach: mają wiele rozumu i znoszą cierpienia, kłopoty i mozoły z niesłychaną cierpliwością. Są dumni z tego, że ani w słowach ani w czynach nie okazują ani strachu ani smutku. Z nikim nie dzielą się swymi kłopotami. Są chciwi sławy, o honor swój są bardzo dbali i żadnej urazy nie darują. Ubóstwo u nich nie jest poniżeniem. Są pełni godności i grzeczności w towarzystwie. Wolałby Japończyk rękę stracić aniżeli zaniedbać przepisanej grzeczności w obec przyjaciela. Dla obcych też są grzeczni, punktualni i dotrzymują słowa.

Japończycy uczą się chętnie, starają się postępować dalej we wszystkich sprawach. Setki Japończyków przebywa w szkołach wyższych, fabrykach i t. d. w Europie. Niestety zarażają się przy tej sposobnosci liberalizmem europejskim, bo takich tu znajdują nauczycieli. W kraju ich szerzą się różne sekty niekatolickie, katolicy nie mają środków na szkoły, pisma. Wojna Japonii z Chinami pokazała, że u Japończyków jest wielki talent i siła i że daleko jeszcze doprowadzą.

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

(Ciąg dalszy.)

Ni łaknąć ni pragnąć nie mieli zatem potrzeby. Haźbietka też na swojem wydobrzała i wypiękniała. Jej piękne oczy nabrały żywszego blasku, jej kibić poczęła się wypełniać.

Niestety! jej szczęście nie było zbyt długie. Urzędnicy akcyźni już dawno śliwinickiego gorzelnika mieli na oku i wszelkich dokładali starań, aby go schwycić na gorącym uczynku. Razu pewnego zjechała nagle rewizya. Co i jak się stało, o tem nigdy nie można się było nic pewnego dowiedzieć. To niewątpliwa, że urzędnicy odjechali z niczem, ale Kubę przyniesiono martwego do domu. Podobno słysząc, że jedzie rewizya, zbyt nieostróżnie zapuścił się do sklepu, gdzie stały kadzie z zacierem, i padł uduszony gazami. Więcej komisya sądowa wydostać nie była zdolna.

Haźbietka szczerze opłakiwała jego stratę. Mieszkanie jej dano komu innemu, ona znowu się pomieściła z ma-

tką w domu bielonym na końcu wsi, z sadkiem na przodku i kilku »koszkami« pszczół, niewielkim parskiem i psią budą obok niego. Tutaj po kilku miesiącach dała życie chłopczykowi. Ale od tej chwili sama poczęła chérlać. Chudła i mizerniała prawie w oczach, jakaś gorączka poczęła na jej licach wypiekać przelotne rumieńce, w pięknych jej oczach żarzyć się począł jakiś blask nienaturalny. Kaszel uporczywy począł ją męczyć we dnie i w nocy, ostatnich tygodni wcale się z łóżka nie podnosiła. Pan sprowadził doktora. Doktor opukał jej piersi i plecy, przyłożył ucho do serca, bąknął coś przez zęby o tuberkułach, zalecił od piersi odsadzić Ignasia, jeść jak najlepiej, pić mocne wina i odjechał. Haźbietka rok cały się przemęczyła, wreszcie, przedwczoraj o świcie, Bóg ją odwołał z tego padołu cierpienia.

Jędrzejowa, siedząc w głowach swej córki z założonemi na kolanach rękami na skrzynce czerwonej o niebieskich polach, pomalowanych w białe i żółte kwiaty, zaledwie tego była świadomą, gdy ten szereg miłych i bolesnych wspomnień przesuwał się przed oczyma jej duszy. Jej ból był nieświadomy i gdyby ją zapytać, co i jak ją boli, nie umiałaby z pewnością tego wypowiedzieć słowami. Ale mimo to był on nie mniej prawdziwy i głęboki. Wszystkie więc jej nadzieje, że kiedyś, na stare lata, gdy ręce i nogi już wypowiedzą posłuszeństwo, znajdzie oparcie w swych dzieciach i wnukach, w niwecz się obróciły i sama już pójdzie przez ten świat, który dla niej stał się nagle tak pustym!

Sama? O nie sama! W kołysce stojącej obok trumny zakwilił w tej chwili Ignaś, jedyne żywe wspomnienie po jej dawnem szczęściu, jedyny przedmiot, na który się teraz zbierały wszystkie uczucia jej skołatanego serca! Jędrzejowa zerwała się ze skrzynki, poskoczyła do kołyski, przewróciła kwilącą dziecinę na drugi boczek i bujając go poczęła mu »bzikać« do uszka. Ignaś usypiał, gdy odezwało się znowu chórem kilka pisklich głosów... Ignaś, jakby pojął całą grozę tej melodyi, namiętnym, z głębi duszy pochodzącym, zawtórował jej płaczem. Jędrzejowa zabujała go mocniej. Ignaś nie przestawał płakać. Jędrzejowa wyjęła go z kołyski, odziała swoim kabatem, przycisnęła główkę jego do swej twarzy i kołysząc się górną połową ciała, starała się uspokoić rozpłakaną dziecinę. Ignaś był nie do utulenia. Jego biała, drobna twarzyczka nabrzmiała i niemal niebieskiego nabrała koloru, zanosił się chwilami od krzyku. Jędrzejowa położyła go napowrót w kołyskę, poszukała kilka łatek, owinęła węzełek, owinęła weń skórkę pożutego chleba i wsunęła w usta rozkrzyczanemu malcowi. Ignaś, poczuwszy w dziąsełkach węzełek, począł ssać namiętnie i nareszcie usnął. Ale sen miał niespokojny, przerywany często jakiemiś nieprzyjemnemi marzeniami. Nie otwierając oczków, zrywał się często i popłakiwał. Kowalka Mateuszka, sąsiadka i matka chrzestna nieboszczki, przysięgała Jędrzejowej, że widziała na własne oczy, jak nieboszczka Haźbietka, cała w bieli, odedrzwi szła zwolna ku kołysce, jak się pochyliła nad dzieciną i na jej główkę kładła znak krzyża św.

Pierwsze brzaski budzącego się dnia kłócić się poczynały z cieniami nocnymi. Słońce podnosiło się jakoś leniwo, jakby jemu samemu było niesporo patrzeć na obraz niedoli, zalegającej miejsce, które jeszcze do niedawna było widownią tak prostego, cichego szczęścia. Jędrzejowa na poczęstne zaspanym kmochom zgotowała kawy, ukrajała po kawałku chleba. Trumna dla braku miejsca postawiona była na kant w alkierzu. Wyniesiono ją do przedniej izby, ułożono w niej zmarłą z założonemi na krzyż rękoma i obrazkiem na piersiach, wieko postawiono przed drzwiami. Ciasno się zrobiło w izbie, że ledwo ruszyć się było można. Ludzie, przechodzący do roboty, wstępowali i odmawiali za duszę zmarłej zdrowaśki i wieczny odpoczynek. Nareszcie zajechał przed dom wóz w proste deski, zaprężony w parę koni. Czas było zabijać wieko. Kowalka Ma-

teuszka wzięła Ignasia na rękę i pochyliła nad trumną, żeby, jak mówiła, dziecko wdrożyło sobie w pamięć obraz swej rodzicielki. Ignaś na Podwyższenie Krzyża pierwszy swój roczek skończył. Spojrzawszy w blade oblicze małej, chwilkę się zastanowił, wodził naprzemian oczyma raz po kowalce drugi raz po nieboszczycy, nareszcie ją poznał i z okrzykiem »mama« wyciągnął do niej obiedwie rączki. Jędrzejowa zaszlochała, kumoszki końcem fartuchów poczęły oczy wycierać. Ignaś krzyczał z całej siły i podrzucając się przedniem całkiem na ręku Mateuszki, rwał się w stronę matki. Trzeba go było usunąć. Stelmaszka Błażejowa, jego matka chrzestna, dla bolącej nogi i tak na pogrzeb pójść nie mogła. Zawinęła go więc w chustę i zaniosła do domu.

Podniesiono na wóz trumnę. Za wozem uszykował się drobny orszak, niemal wyłącznie z kobiet złożony, jedna z obecnych zaintonowała »O gospodzie uwielbiona« i ruszono w pochód. Jędrzejowa milcząc, postępowała za trumną. Kościół parafii, do której należały Śliwińce, był o granicę. Przybywszy na miejsce, postawiono trumnę przed drzwiami kościoła na dwóch stołkach, dostawionych przez kościelnego; obecni weszli do kościoła wysłuchać mszy św., która właśnie co była wyszła. Msza była przypadkiem żałobna fundacyi wieczystej za dusze dobroczyńców kościoła. Odprawiała się z całą pompą. Ustawiony na środku kościoła katafalk gorzał rzęsiście światłem jarzącem i lampkami, woń miry rozchodziła się wokół. Jędrzejowa z głową ku ziemi pochyloną przeklęczała mszę całą przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej w bocznym ołtarzu. Jej usta nie szeptały pacierzy, ale z serca jej polała się, nieubrana w słowa, jedna z tych modlitw, co to niebiosa przebijają i dochodzą wprost przed tron Najwyższego. Była zmęczona niewywczasem i przebytemi cierpieniami, oczy się jej mimowolnie kleiły, głowa sennie opadała na piersi. Wtem ksiądz głosem uroczystym zaintonował: »Requiescant in pace«. Jędrzejowa podniosła oczy na obraz Boga-Rodzicielki i o dziwo! spostrzegła wyraźnie, że obraz do niej łzawo się uśmiechał. Wyprostowała się, złożyła ręce jakby do modlitwy i wpatrzyła się lepiej: nie, nie myliła się! Matka Zbawiciela uśmiechała się do niej litośnie i jakby wskazywała jednem okiem na syna, leżącego na jej łonie. Zarazem posłyszała jakoby szept cichy w swej duszy: »Patrz, Jędrzejowa, na moje serce mieczami przeszyte, i ucz się cierpieć!« Westchnienie głębokie wydobyło się z jej piersi, ale razem z tem westchnieniem, jakoby nowy spokój, nowa siła wstąpiła w jej serce.

Msza się skończyła, ksiądz dopełnił żałobnych obrzędów. Potem wyszedł w stule przed kościół, odmówił modlitwy, pokropił trumnę, na wieko jej posypał garstkę ziemi. Wóz ruszył ku cmentarzowi, gdzie nad otwartą mogiłą czekał już kopacz z łopatą i powrozami w ręku. Zanucono »Witaj królowo,« wyciągnięto z pod trumny drągi i spuszczono ją do dołu. (Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Węgierskie wesele. Hucznie i buńczucznie odbywa się węgierskie wesele na wsi. Obrazek na stronie 344 pokazuje nam dobitnie, jakie tam wtedy życie panuje.

Wsłuchują się! Widzimy na rycinie parkę zajączków i rogacza, strzyżących uszami na wszystkie strony. Gdzieś w oddali posłyszały jakiś szelest, dla tego słuchają, ażeby wymiarkować, czy im czasem nie grozi niebezpieczeństwo. Nieprzyjaciół mają dużo — a nuż strzelec ich dostrzeże, już ich życie wisi na włosku... Czuwają zatem, ażeby później nie żałować, że były za wygodne do czuwania tam, gdzie chodziło o ich życie.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Słówko o zażywaniu tabaki.

Tabakę odkryto i zaprowadzono w Europie w połowie piętnastego stulecia. Pierwszym krajem, który ją posiadł i zaprowadził, była Portugalia. Zwyczaj zażywania tabaki wnet się tam zakorzenił, ponieważ tabaka należy do narkotyków a każdy narkotyk, jako podniecający zmysły, znajduje licznych zwolenników. Rzadko się zaś odzwyczai od narkotyku ten, kto się do niego przyzwyczaił. Ileż to siły woli, ileż zaparcia się siebie samego kosztuje tego, kto pragnie pozbyć się nałogu palenia, lub picia wódki i piwa Każdy nieoledwie wie i czuje, że gorące trunki i tytonie najrozmaitsze jako odurzające umysł, szkodzą zdrowiu człowieka, a jednak nie porzuca nałogu, bo tak do niego przywykł, jak do chleba codziennego. Uczuwa konieczną potrzebę używania ich. Portugalczycy zażywali tabakę namiętnie, bo, jak mówili, takowa ochrania mózg od rozmaitych chorób. Już w roku 1668 nałóg zażywania tabaki w Portugalii tak był zakorzeniony, że król Alfons VI po pewnem zwycięstwie nakazał w dowód szczególnej łaski dać każdemu żołnierzowi po dwa funty tabaki, i serdecznie się dziwił, gdy zauważył, że znaleźli się tacy, którzy nie zażywali. Z Portugalii szybko przeniósł się ten zwyczaj do innych krajów. W połowie siedemnastego wieku znaną była tabaka u wszystkich cywilizowanych narodów, a nawet po dworach europejskich używano jej jako środka podniecającego zmysły. Pierwsza królowa pruska kazała sobie podczas uroczystości koronacyi podać niuch tabaki dla tego, ażeby, jak mówiła, spłoszyć w ten sposób nudy, które ją dręczyły wśród uroczystości.

Nie wszędzie jednak cierpiano tabakę. W niektórych krajach prześladowano tabaczników prawdziwie drakońskiemi prawami. Car rosyjski wydał w roku 1634 prawo, ażeby tabacznikowi ucinać nos. W Hiszpanii tak namiętnie zażywano tabakę, że papież Innocenty VIII w r. 1624 zagroził klątwą tym wszystkim, którzy w murach kościelnych poważą się jej używać. Rozporządzenie to zniósł dopiero papież Benedykt VII w roku 1724, który sam należał do namiętnych tabaczników. W Szkocyi powstały najpierw tabakierki i tak się tam rozpowszechniły, że każdy mienniejszy Szkot miał ich przynajmniej tyle, ile dni rok liczy. Przysłowionym tabacznikiem był król pruski Fryderyk Wielki. Angielski poseł przy dworze pruskim mawiał o nim, że niepodobna było zbliżyć się do niego, ażeby nie kichać. Pozostawił on po sobie 130 tabakierek, które miały 1 milion 300 tysięcy talarów wartości. Na stole w pracowni jego stało zawsze parę sztuk a przy sobie miał ich regularnie dwie.

Sławni dyplomaci, mężowie stanu, dostojnicy kościelni nie rozstawali się z tabakierką, a każda z nich przedstawiała niemałą wartość. Wyrabiano je bowiem z najszlachetniejszych kruszców i wykładano drogimi kamieniami. Osobny zwyczaj dworski przepisywał nawet sposób używania tabaki.

Gorszymi jeszcze tabacznikami są niektóre szczepy afrykańskie. O Betszuanach opowiada jeden z podróżników: »Są oni nieumiarkowanymi tabacznikami. Najwyższą przyjaźń okazują ci wtedy, gdy cię poczęstują tabaką, która musi być jednak tak ostrą, że ci łzy z oczu wyciska. Szczególnie ją zaś wyrabiają. Rozetrą należycie kawał tabaki pomiędzy dwoma kamieniami i dodają do niej następnie ogromną ilość popiołu drzewnego, który w ich pojęciu nadaje tabace należytego smaku. Gdy mięszanina jest gotową, wtedy każdy sypie ją sobie na powierzchnią ręki, zesypuje następnie na łyżkę, która wisi na szyi i każde ziarnko wciąga potężnie w nos w takiej ilości, że łzy kulają mu się jak groch po twarzy. Im tabaka ostrzejsza, tem więcej Betszuanom smakuje«. Dziękujemy za taką przyjemność.

W południowej części Ameryki Północnej pocierają sobie kobiety dziąsła i zęby tabaką. To niby ma być pięknym zwyczajem. W istocie z tego taka korzyść, że zęby pożółkną i zdrowie na tem traci.

Do wszystkiego potrzeba wprawy a więc i do zażywania tabaki. Nikt jednak tej wprawy w zażywaniu tabaki nie doprowadzi może w życiu do takiej doskonałości, co Kafrzy w Afryce. Nie wprowadzają oni tabaki wprost do nosa, ale nasypują ją na buchastą wargę a następnie podrzucają w nos. Tego z Europejczyków rzadko by kto dokazał.

Pomiędzy zażywającymi tabakę panuje zwyczaj podawania i przyjmowania tabaki. Ten zwyczaj niemałą już w życiu towarzyskiem odegrał i wciąż jeszcze odgrywa rolę. Dwóch ludzi łagodnego usposobienia, którzy się o drobnostkę powaśnią, godzi znowu ze sobą szczypta tabaki. Przeciwnie mają się rzeczy z ludźmi gorącej krwi. Podaj zapalczywemu człowiekowi tabakierkę do niucha tabaki na znak zgody, a możesz się obawiać, że on ci ją z rąk wyrzuci. Niejeden przy szczypcie tabaki zawarł przyjaźń, niejeden przez użycie tabakierki w stósownej chwili potrafił uwolnić się w towarzystwie od niemiłej odpowiedzi lub wydobył się z innego ambarasu.

Za czasów Ludwika XIV należało zażywanie tabaki do dobrego tonu. Wszystkie damy dworskie zażywały tabakę z misternych tabakierek. Czasy się jednak zmieniają, i ludzie także, dziś rzadko która z pań zażywa

tabakę, bo ma najwięcej obawy o to, ażeby sobie noska nie zniekształcić. Byłaby bowiem wtedy niepocieszoną. Co prawda, najlepiej ten robi, kto tabaki nie zażywa wcale. Tabaka psuje ogromnie zmysł powonienia, zniekształca częściowo twarz i przytępia słuch.

Taka sama sekutnica.

Raz pewien książę wybrał się z swą uroczą żonką w podróż poślubną. Ponieważ nawzajem szczerze się kochali, więc świat wydawał im się raz jeszcze tak pięknym. Spoczęli pod drzewem, ażeby napawać się cudnym widokiem krajobrazu i uroczą ciszą, panującą dokoła. Mąż przytula żonę ku sobie i szepce jej z miłością do ucha:

— Czy jest może na świecie dwóch ludzi, którzyby się więcej miłowali od nas obojga?

Nastąpiła wymiana gorących słów i stanęło na tem, że miłość to najwyższy szczyt szczęścia na świecie. To szczęście zaś dostaje się w udziale i największemu nędzarzowi, gdy umysł jego świeży a serce czyste. Gdy tak gawędzą w najlepsze, przechodzi drogą jakiś chłopek, pośpiewując sobie wesoło.

— Najdroższy, — szepce księżna małżonkowi do ucha, — pozwól się zapytać owego rólnika, czy i on używa w równej mierze tego szczęścia, co my?

— Dobrze, zapytajmy się go.

Chłopek się zbliża.

— Mnie się zdaje, ojcze, — rozpoczął książę, — że wy musicie się czuć prawdziwie szczęśliwym na świecie, skoro sobie tak przyśpiewujecie. Jesteście nim w istocie?

— Dla czegoby nie, — odpowiada żartobliwie chłopek, — mam jakie takie utrzymanie, zdrowie mam dobre, żona i dziecko także zdrowe, jedzenie i picie mi smakuje, trosk i kłopotów na głowie nie mam, cóżby mi zatem miało dolegać? Boga mi chwalić należy i być z losu swego zadowolonym.

— Tak, to prawda, — odpowiada książę, — poznaję z słów waszych, że się czujecie szczęśliwym. Ale, każdy człowiek ma swego mola, co go gryzie i nie ma pewnie istoty na świecie, któraby kiedykolwiek nie miała jakiejbądź, choćby najmniejszej troski. Z pewnością i wy mieliście już kiedykolwiek coś podobnego w życiu?

— Nie, rzeczywiście, nie przypominam sobie, — odpowiada rólnik, — jednak!... czasem, co prawda...

Księżna poczęła mu się teraz uważniej przypatrywać. Jakto, więc i ten człowiek, który czuje się tak szczęśliwym, miałby kłopoty w życiu?

— A więc, wszak powiedziałem, że i wy nie możecie być wolni od kłopotów życia codziennego, opowiadajcie zatem bez ogródki, jakiego rodzaju są wasze dolegliwości?

— Czasem, — odpowiada chłopek, drapiąc się za uchem, — mam biedę z mą kobietą! W dzień powszedni co prawda nie zaglądam do oberzy, bo nie ma na to czasu, a zresztą, po całodziennej utrudzającej pracy człowiek rad, że może spocząć w łóżku. Wypije się co najwyżej jeden lub dwa kubki i podąża do domu. Inaczej jednak w Niedzielę. Pan wie z pewnością, jak to jest z Niedzielą. Toć Niedziela jest na to, żeby wypocząć i użyć nieco rozrywki. Siedzi człowiek w towarzystwie jakiego dobrego przyjaciela, no wtedy zrobią się z dwóch kubków trzy; przyjdzie czasem i borowy, a to, powiadam Panu, wesoły mężczyzna, człowiek rad przepędzi kilka miłych chwil w jego towarzystwie, wypije się zatem kubek czwarty i piąty, przyjdzie też i nauczyciel. Przecież nie wypada usuwać się i od jego towarzystwa, tem więcej, że potrafi też coś powiedzieć, każę sobie podać kubek szósty i siódmy. W końcu przyłączy się do towarzystwa żandarm. I on ma pragnienie i on gniewałby się, gdyby mu odmówić. Wypije się więc kubek ósmy i dziewiąty, a czasem dziesiąty i jedenasty, zdarza się także, że przyłączy się do tego i kubek dwunasty, o jeden już w tym razie nie chodzi. Stara to rzecz, że człowiek po tylu kubkach, sam nie wie, dla czego robi się weselszym i w tym stanie przychodzi do domu. Żona naturalnie gniewa się na to, że człowiek wesoły, a ponieważ wie dobrze, zkąd się u mnie zwykle taka wesołość bierze, więc ani myśli podzielać się nią ze mną, ale sroży się w okropny sposób i wtedy najdobitniej pokazuje, co potrafi.

— Co? — wtrąca się na to oburzona księżniczka. — Wy chcecie oskarżać jeszcze waszą biedną żonę, że wpada w rozpacz, iż ma za męża pijaka obrzydłego? Wy jesteście okropnym mężem. Dwanaście kubków! I to opowiadacie z takiem zadowoleniem? Czy nie przyszło wam na myśl, że z powodu waszego opilstwa niszczycie szczęście małżeńskie i jako ojciec dajecie swym dzieciom brzydki przykład? Czy to się nie możecie zabawić w uczciwszy sposób?

Po tych słowach poczciwy rólnik trąca łokciem księcia i mrugając filuternie oczami, powiada do niego:

— Akurat taka sekutnica, jak moja żona.

Rzekł i opuścił oboje małżonków, spoglądając dziwnie uśmiechniętemi oczyma na oburzoną księżniczkę.

Praktyczne rady.

— **Na bezsenność.** Przed pójściem na spoczynek zjeść dwie lub trzy łyżki miodu czystego. Środek ten tak prosty, tani a zarazem przyjemny, zaleca pewien lekarz, który chcąc się pozbyć bezsenności używał licznych lekarstw i zamiast wyleczenia rozstroił sobie do reszty nerwy. Uratował go dopiero miód, pierwszych kilka łyżek spożył bez myśli, podczas nocy, chodząc po pokoju, aby zmęczeniem ciała sen wywołać. Miód uspokoił mu nerwy, śpi teraz doskonale.

— **Rezedzie doniczkowej nadać kształt drzewka.** Roślinę zdrową przesadza się z gruntu do doniczki a następnie obcina się każdy nowy pączek. Na jesień obcinają się gałązki dolne, tak, że roślina nabiera kształt drzewka w miniaturze; następnie przesadza się ją w inną doniczkę ze świeżą ziemią, stawia w ciepłym pokoju i codziennie podlewa. Na wiosnę już można zauważyć, że łodyga twardnieje; gałązki nowo wyrosłe ciągle się obcina w ten sposób, aby utrzymać kształt drzewka, szczególnej przy wierzchołku. W trzecim roku rezeda dostaje kory, wówczas już nie trzeba obcinać nowych pączków; w kilka dni rezeda-drzewko okrywa się bujnym kwiatem, który zadawalniać będzie oko i powonienie hodowcy corocznie, przez długie lata.

— **Pająkiem zastąpić barometr.** Jeżeli ma nastać deszcz lub wiatr, wówczas pająk ściąga nici, na których jego siatka jest do drzewa lub innego przedmiotu uczepiona. Nici w tym stanie pozostają, dopóki czas jest zmienny a pogoda niestała. Przedłużenie znowu nici jest znakiem, że pogoda wraca; o jej trwałości można sądzić po większem lub mniejszem wydłużeniu pajęczyny.

Jeżeli pająk jest nieruchomy, to będzie deszcz; na rychłą pogodę krząta się i pracuje nawet podczas deszczu. Pająk zmienia miejsce w swej sieci co 24 godziny. Jeżeli zmiana ta odbywa się przed samym zachodem słońca, to noc będzie pogodna i jasna.

Taki pajęczy barometr może być pożytecznym oczywiście tylko na otwartem powietrzu, n. p. w ogrodzie, chociaż i w budynku przepowiednie pająka tak samo się sprawdzają.

Rozmaitości.

* **O bilardzie.** Kiedy gra w bilard powstała i kto ją wynalazł, nie stwierdzono dotychczas, tyle tylko zdołano dociec, że już w roku 1514 bilard był znany. W każdym razie nie był on nowością. Już w prastarych bowiem czasach spędzały ludy wolny czas na kulaniu w kręgle, ale nie znano wtedy jeszcze stołów bilardowych. Grano na ziemi. W średnich wiekach był bilard grą uprzywilejowaną królów i książąt. Ludwikowi XIV., który grzeszył obżarstwem i był nadzwyczaj otyły, radził lekarz, ażeby używał ruchu przez grę w bilard. Dopiero w roku 1610 pozwolono we Francyi po raz pierwszy urządzać publiczne zakłady bilardowe, ale na to trzeba było osobnego pozwolenia. Jeszcze w roku 1716 istniało w Saksonii prawo, że bilardownie muszą być obsługiwane tylko przez mężczyzn. Latem mogły być do 10, zimą do 9 godziny otwarte. Kto nie zastósowywał się do tego przepisu, płacił kary 20 talarów. Nie wolno było sługom grać bilardu a jeśli szło o kwoty pieniężne, mógł każdy stawiać jedynie w miarę swej zamożności.

Bilardy były dawniej większe i mocniej budowane. Były już również zielonem suknem pokrywane, bile były także z kości słoniowej, ale brzegi bilardu nie miały jeszcze elastycznej gumy, którą dzisiaj są wykładane. Zastępowano ją puchem, albo metalem. Kije bilardowe nie były zaopatrzone skórą na końcu a przy grze opierano się na widłowatem narzędziu, gdy chodziło o rozegranie dłuższych bil. Zupełna wolność bilardowa nastała dopiero po rewolucyi francuzkiej. W krótkim czasie znajdował się bilard nietylko po miastach i miasteczkach, ale nawet i po wsiach. W roku 1827 wymyślono we Francyi pokrycie skórzane na kij bilardowy. Krótko potem nastał dziś najwięcej i najchętniej grywany karambulaż. Był czas, gdzie chorowano formalnie na urządzanie zakładów bilardowych. Dziś istnieją nawet akademie gry bilardowej.

I w życiu społecznem i ekonomicznem bilard odgrywa swą rolę. W społecznem, bo tysiące rąk znajduje pracę przy wyrobie stołów bilardowych, ekonomicznem, bo przysparza szynkarzom niemałe zyski, tak że niektóre państwa zaprowadziły nawet podatki od gry w bilard. We Francyi przynosi ten podatek rocznie przeszło 1 milion 200 tysięcy franków. (Frank liczy 80 fen.) Kto wie, czy i u nas kiedyś jak z pogodnego nieba nie spadnie w parlamencie ustawa, dotycząca zaprowadzenia podobnego podatku?

* **Egipt jest ojczyzną palm daktylowych,** które tworzą istne lasy, zwłaszcza we wschodniej części Niższego Egiptu, koło Rozetty, Kairu i Memfis. Najlepszych owoców dostarczają oazy. Ogółem znajduje się w tym kraju cztery miliony palm daktylowych, od których rząd pobiera 4 miliony franków podatku. Zbiór coroczny wynosi 10 milionów centnarów. Owoce dorzewają w końcu sierpnia i od tej pory, aż do grudnia, na targach jest wielka obfitość świeżych daktyli. Zrywają je przed dojrzeniem, póki są jeszcze kwaśne i zielone. Owoc ten stanowi wielkie dobrodziejstwo dla ludności arabskiej, która przeważnie nim się żywi.

* **Podwodna łódź torpedowa,** świeżo wynaleziona w Australii, zwraca na siebie powszechną uwagę. O wynalazku tym bardzo obszerne wiadomości zamieściły: „Times“ „Standard“, „Daily News“ i „Daily Chronicle“. Łódź wynalazł inżynier Seymur Allan, mieszkający stale w Australii. W dniu 12 Listopada dokonano z nią próby w Melbourne w obecności gubernatora, komendanta

portu i licznych oficerów; próby te dały rezultat bardzo pomyślny. Okazało się iż łódka może pogrążać się na znaczną głębokość i płynąć pod wodą, zupełnie niewidzialna na powierzchni. Bardzo szybko i lekko podnosiła się i zagłębiała, robiła obroty, cofała się i zatrzymywała raptownie, kierowana prądem elektrycznym, który wprawia ją w ruch. Seymor Allan zaręcza, iż wynaleziona przez niego łódź może utrzymywać się pod powierzchnią wody przez dni trzy, bez odświeżania zapasu powietrza. Torpedy umieszczone są na przodzie i z tyłu łodzi. Przyrządy wybuchowe są namagnesowane i z tego powodu łatwiej przystają do metalowych części podwodnych okrętu nieprzyjacielskiego Obecny przy tych próbach admirał oświadczył, że jeżeli łódź Allana będzie tak dobrze paruszać się jak jej model, to wynalazek ten wywoła olbrzymi przewrót w morskiej sztuce wojennej.

ŻARTY.

Wśród młodego małżeństwa.

— Czy ty mnie bardzo kochasz, najdroższy Władeczku?

— Nad życie!

— I nie tęsknisz za życiem kawalerskiem!

— Wcale, a nawet powiem ci, mój aniele, że tak umiłowałem stan małżeński, że gdybyś dziś umarła, gotówbym się jutro ożenić.

U lekarza.

Służący: O, jedzie pacyent, panie doktorze którego pan doktór leczył!

Doktór: Powiedz mu, że o tej godzinie nie przyjmuję.

Służący: Kiedy proszę pana on już jedzie na karawanie na cmentarz.

Cecha niezawodna.

Rzecz dzieje się u fotografa.

— Oto fotografia pani syna. Czy podobny?

— To jest... hm... tak sobie... Ale, ale... zapłacił panu za fotografię?

— Nie, wziął na kredyt.

— On! Dalibóg, to on!

Ella: Dziś z rana łowiliśmy z Emilem ryby na wędkę.

Ema: Tak, cóż złowiłaś?

Ella: Emila.

A to ci bohater!



Dzielny był wojak pan Zając za młodu!
Rąbał on nieprzyjacioł i z tyłu i z przodu!
Dziś włos mu pobielał, umysł jednak żwawy;
Opowiada przy piwie z ogniem swe wyprawy.



— Tak moi panowie! — Bywało to inaczej
Za dawnych czasów! — Wśród kul i kartaczy
Ja, chociaż Zając, szedłem naprzód śmiało
Choć ziemia się trzęsła, choć zewsząd huczało



Od gradu kul, jak od błyskawic, piorunów.
Serce miałem odważne. — Do stu bizunów...
Gdy tak pan Zając się sobą zachwyca
Przychodzi żonusia i z tyłu przychwyca
Odważny pan Zając — z boleścią w słowie
Woła kompanom: dobranoc panowie.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.